TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 39. *Chicago, Ills., 25 Marca, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

— Przecież nie zamknąłeś Willa w jednej z izb zamkowych? — odezwał się Joe, wpatrując się w szalonego pastuszka.

— Nie, nie; on nie jest w izbie?

— Gdzież się więc znajduje?

— W mojej łapce!

I mały figlarz zaczął znowu tańcować w koło pokoju z ukontentowaniem, że tak zadrwił z wroga swego. Hałaśliwa radość jego trwała kilka minut, nim Joe mógł na nim wymódz jakieś jaśniejsze szczegóły całego zdarzenia.

— I kiedyż się to stało?

— Wczoraj.

— A zatem przez cały ten czas zostaje tam bez jadła i napoju?

Poczciwy młody wieśniak nie mógł oswoić się z myślą, żeby Sideler został pozbawiony wszelkiej pomocy; domyślał się, że musiał sobie nogi połamać spadając zapewne z dość znacznej wysokości. Nareszcie nie trzeba było,

aby tam umarł, bo jego zeznania mogły się przydać w sądzie. Chciał więc pojechać spiesznie do Mortlake, nie czekając powrotu pana Elworthy.

— Ja nie wierzę, aby sobie nogę złamał, — mruczał młody trzpiot. — Mnie się zdaje, że chcesz mnie tem rozczulić. Skoczyłem może ze sto razy z takiej wysokości, a nigdym sobie nic nie zrobił złego.

Joe nie dał mu dalej mówić; wbrew przedstawieniom Ralfa, który żałować zaczął, że mu się zwierzył z wypłatanego figla, postanowił udać się natychmiast do Cromwell-House, w celu oswobodzenia jeńca.

Zostawiwszy jednemu z pisarzy pana Elworthy bilecik, w którym zawiadomił go o przyczynie swojego wydalenia się, wyszedł skwapliwie, by się udać na widownię ostatnich przygód.

Wiedząc z doświadczenia, jak Will Sideler groźnym jest towarzyszem, nie omieszkał wziąć broń z sobą.

XV.

Człowiek, do którego wezwano pana Elworthy, był dawniej służącym kapitana Elton, uwięziony w Newgate za kradzież popełnioną u lady Mowbray, swojej ostatniej pani. Aresztowano go w czasie jej nieobecności w Londynie, bo możeby się wachała zanosić skargę na niego. Było to za czasów panowania starego Jerzego III, kiedy to szubienicą karano nadużycie zaufania, za kradzież, fałszerstwo i tym podobne przestępstwa, które po dziś dzień sądy nie tak ostro karzą.

Otóż oszust ten lgnął do życia.

Może między temi wypadkami, które się od pół roku wydarzyły, — rzekł złodziej do prawnika, — znalazłoby się coś takiego, coby pana skłoniło do ocalenia mi życia.

— To rzecz niezawodna, mój poczciwcze, — odpowiedział notaryusz, — że oddanie skradzionych przedmiotów nie byłoby dostatecznem, by cię ocalić.

— Cóż musiałbym więc uczynić więcej?

Prawnik wzruszył ramionami.

— Gdybym wydał pułkownika i lady Mowbray?

Pan Elworthy zachował milczenie.

— Gdybym panu dał sposób odszukania testamentu sir Williama Mowbray, który panu skradzionym został?

To samo milczenie.

— Gdybym panu wydał człowieka, który panu skradł ten testament?

— Dobrze odezwał się dopiero teraz pan Elworthy. — Wyjaw, co wiesz o pułkowniku i lady Mowbray, odkryj, gdzie jest testament mego zmarłego, nikczemnie zamordowanego klienta, powiedz nareszcie, kto jest ten zbójca, który mnie napadł i okradł, a chociaż nie warto żałować stryczka dla takiego, jak ty łotra, ocalę ci jednak życie!

Jakkolwiek ta obietnica zadziwić nas może, pan Elworthy mógł ją łatwo dotrzymać w owych czasach.

Adwokat wezwał tedy urzędnika sądowego, w którego przytomności były sługa lady Mowbray, oskarżył tę damę i zmarłego kapitana Elton o wspólnictwo w celu osiągnięcia testamentu, oraz wymienił Willa Sidelera, jako sprawcę zamachu na życie pana Elworthy.

To ostatnie zeznanie bardziej jeszcze pożądane było, niż pierwsze. Oddawna szukał prawnik sposobów dostania w moc swoją Willa Sidelera. Od czasu skrytobójstwa na osobie sir Williama spełnionego, zaczął mieć podejrzenie na tego wypędzonego sługę baroneta; teraz był prawie pewny swego, tak, jakby go już zamknięto w murach Newgate.

Urzędnik sądowy przychylił się bez trudności do wydania rozporządzenia, aby aresztowano byłego królikarza. Lecz co się tyczy lady Mowbray, była to sprawa draźliwa, wymagająca namysłu.

Nazwisko osoby, której kapitan Elton powierzył testament skradziony, znajome było panu Elworthy, który nie wątpił, że za pomocą groźb i pieniędzy mądrze użytych, uda mu się odzyskać ten dokument, z którym udałby się niezwłocznie do kanclerza, by uprzedzić wszelkie wdanie się pułkownika w tę sprawę.

Z wielkiem tedy zadowoleniem wyszedł z więzienia i powrócił do swojego mieszkania przy ulicy Temple, a pisarz wręczył mu zaraz na wstępie bilecik Joego.

— Cóż tedy wypada teraz uczynić? — zapytał urzędnika, który mu towarzyszył.

— Weź pan dwóch z pomiędzy moich ludzi z sobą i udaj się z nimi za tym panem Beansem do Mortlake.

Była to rzeczywiście najlepsza rada; i w niespełna godzinę później, przewodnik w towarzystwie dwóch ajentów policyjnych, pojechał do

Cromwell-House, gdzie stanął niedługo po przybyciu Joego i Ralfa.

Kiedy mały pastuszek podniósł wieko swej łapki, Joe przerażony został widokiem, który miał przed oczyma. Stary jego wróg bronił się z zaciekłością szaloną przeciw mnóstwu szczurów, które nietylko do jego odzienia, ale i do ciała się poprzyczepiały. W swojej rozpaczy, nędznik tarzał się po ziemi, gniotąc je swym własnym ciężarem, inne chwytał rękami i ciskał o ścianę.

— Hurra! — zawołał Ralf, — oto lepsze jeszcze niż walka kogutów! Stary nie potrzebuje nawet, aby go pobudzać!

Ale Joe idąc za natchnieniem litościwego uczucia, wskoczył do piwnicy, aby wydobyć Willa, którego siły opuszczać już zaczynały. Pomógł mu otrząść się z niezliczonych napastników, które widząc przeważną siłę odporną, pouciekały do swoich dziur.

— Bodajże cię, master Joe, — rzekł malec stojąc ciągle przy otworze sklepienia, — zepsułeś całą zabawę!

Młody wieśniak zadrżał ze grozy i prosił go, aby poszukał drabiny w oficynach.

— Na co? — zapytał Ralf, — jeżeli dla ciebie, to dobrze, chętnie to uczynię, ale nie dla tego starego łotra. On mnie chciał zabić, i nie wachałby się to uczynić tak obojętnie, jakby to szło o zastrzelenie królika! — Widzisz! — dodał podnosząc z podłogi nóż wielki, który stary zbójca upuścił na korytarzu, — co na to powiesz?

— I pokazał brzeszczot wyostrzony lśniący się do światła.

— To źle, mój mały że tak chciał postąpić, ale nie do nas należy sądzić go.

— Ja też wcale do tego nie mam chęci, — odparł kwaśno pastuszek, — chcę go tylko szczurom na żer zostawić; to najlepszy sąd dla niego!

Przez kilka chwil malec namyślał się, co mu uczynić wypadało; śmiertelnie nienawidził Willa, ale miałże zarazem zostawić w tak smutnem położeniu tego, który okazywał się dla niego tak uprzejmym i życzliwym? Przemogło przywiązanie do Joego; pobiegł więc po żądaną drabinę, pomrukując jednak pod nosem, że gdyby był przewidywał zamiary Beansa względem starego zbójcy, byłby przez kilka dni zachował w tajemnicy całe wydarzenie.

Will Sideler wyglądał okropnie, kiedy go wydobyto z tej smutnej kryjówki, gdzie tyle godzin bolesnych przepędził zamknięty. Odzież jego porozdzierana, a twarz i ręce krwią były zbroczone.

— Daj mu wody, — rzekł jego wybawca do Ralfa, choć on bardzo wiele złego narobił, nie możemy dopuścić, aby ginął z braku pomocy.

Malec z widocznem niezadowoleniem napełnił wodą dzbanek pierwszy lepszy, który mu w kuchni wpadł pod rękę, tam bowiem przeniesiono zemdlonego zbójcę, i zbliżył naczynie do jego ust spragnionych.

— On nie chce pić, — rzekł chłopiec.

Sideler otworzył zwolna oczy.

— Gdzież jestem? — wyjąknął.

— Tam gdziebyś być nie powinien, na bożym świecie, — odparł pastuszek.

Groźne spojrzenie, jakie rzucił poznawszy Ralfa i Joego dowodziło, że przebyte w piwnicy godziny cierpienia, nie głębokie zostawiły wrażenie na zatwardziałym umyśle starego grzesznika.

— Wody! — Wody! — zawołał.

Ralf zbliżył dzban do ust jego, a Will chciwie pić zaczął. Nigdy może w całem jego życiu, żaden napój tak mu się wybornym nie wydawał. Oczy jego zajaśniały zadowoleniem.

— Jeszcze, jeszcze więcej wody! — wołał.

— Idźże sobie sam po nią! — odpowiedział Ralf niechętnie, zatrzymując się w pobliżu zbrodniarza. — Ja muszę iść paść krowy Remnanta!

Gdy się zbliżył do drzwi od kuchni, aby się oddalić coprędzej, te otworzyły się nagle i wszedł pan Elworthy, a za nim dwaj ludzie nieznani Joemu. Wkrótce jednak poznano cel ich przybycia. Nie przemówiwszy słowa, zbliżyli się do stołka, na którym siedział Sideler, i nie dając mu czasu powstać z miejsca, założyli mu kajdanki na ręce z tą zręcznością, jakiej się nabywa przez długoletnią wprawę.

— Czy ty się nazywasz Sideler? — zapytał jeden z ajentów tonem obojętnym, okazującym, że to czyni tylko dla dopełnienia formalności, bo zresztą pewnym jest, z kim ma do czynienia.

Zadziwiony zbójca nie wiedział co odpowiedzieć.

— Mogę panom poświadczyć, że takie jest

nazwisko tego człowieka, — odezwał się Joe, — znam go oddawna!

— To dostateczne! — dodał drugi ajent, chowając do kieszeni klucz od kajdan.

Poczem zwracając się do schwytanego dodał:

— Jesteś naszym więźniem!

— O cóż mnie oskarżają? -- jęknął nędznik. — Poślijcie po pułkownika Mowbray, jego żonę i po jego przyjaciela indyjskiego, bogatego Mirana-Hafaz! Oni złożą rękojmię za mnie, choćby to bardzo znaczną kwotę wynosić miało, poświadczą oraz niewinność moją!

— Nie przyjmuje się poręczenia za obwinionych o zabójstwo! — odpowiedzieli ajenci policyjni.

Na ten wyraz: zabójstwo! Sideler jęknął przeciągle i pochylił się na stołku. Cała odwaga odbiegła go; był zupełnie przygnębiony i bezwładny.

— Nareszcie! — szepnął, — nareszcie!

Przez wzgląd na osłabienie więźnia, ajenci zostawili go przez kilka chwil w spokoju, nim go do Londynu zawieźli. Jeszcze tej samej nocy oddano go do Newgate.

— Zabójca! – zawołał Ralf patrząc za swym wrogiem wsiadającym do pojazdu, który go miał do więzienia odwieść. — Niech mnie licho porwie, jeżeli nie domyślałem się czegoś w tym guście! Cieszy mnie, że Joe nie zostawił go szczurom na pastwę; będzie daleko zabawniej widzieć, jak go powieszą! Co za uroczystość dla mieszkańców Mortlake!

Pan Elworthy opowiedział tymczasem Joemu o swojem widzeniu się z dawnym służącym kapitana Elton i pułkownikowej Mowbray.

— Czy to za zamach na pańskie życie aresztowano Willa? — zapytał Joe.

Notaryusz potwierdził to pytanie.

— Ja myślałem, że za zabójstwo sir Williama Mowbray.

— Nie, — odrzekł adwokat. — Jakkolwiek silne mam przekonanie, brakuje mi jeszcze dowodów!

XVI.

Wdowa Barnes, jedyna służąca Khana, pomimo przychylności dla swego pana, nie mogła oprzeć się pewnej obawie, jaką w niej wzbudzał. Biedna Zuzia nie mogła również słuchać jej opowiadania bez przerażenia o okropnych tajemnicach, jakie w mieszkaniu Khana dziać się miały. Nieraz w czasie jego nieobecności w domu, nadsłuchiwały drżące u drzwi jego pokoju, zkąd dolatywały dziwne odgłosy, brzęk łańcuchów i niby wycie, niby ryk przeraźliwy. Jednego wieczora gepard, któremu pan jego zapomniał dać jeść, rozdraźniony głodem tak szarpał łańcuchem, do którego był uwiązany, że obie niewiasty z przestrachu głowę straciwszy, wybiegły z domu krzycząc i uciekały w przystępie niewysłowionej trwogi.

Podczas, gdy tak domu niebacznie odstąpiły, srogie nieszczęście wisiało nad Elleną. Pułkownik Mowbray, z poduszczenia Mirana, otrzymał od lorda kanclerza wyrok ujęcia na nowo swojej siostrzenicy przemocą, pod pozorem, jakoby umysł jej był obłąkany. Właśnie w chwili kiedy sierota sama została w małym domku, opuszczona od sługi i od swej wiernej pokojówki, lady Mowbray wziąwszy z sobą dwie kobiety do pomocy ze szpitala obłąkanych, przybyła przed mieszkanie samotne dla wykonania swego zdradzieckiego zamiaru. Przewrotna ta kobieta powiedziała, że jej siostrzenica cierpi napady szaleństwa.

Ellena słysząc krzyki Zuzanny i sędziwej wdowy Barnes, choć jeszcze cierpiąca i osłabiona, postanowiła zejść na dół, by się dowiedzieć o przyczynie tego hałasu. Zszedłszy ze wschodów, spotkała dwie pomocnice wysłane przez lady Mowbray.

— Czego szukacie tutaj? — zapytała,

— Podobno ciebie, moja panienko,— odpowiedziały.

— Mnie? — zapytała Ellena zadziwiona.

— To moja siostrzenica! — zawołała lady Mowbray, która właśnie z powozu wysiadłszy, poznała głos swojej ofiary. — Spieszcie się!

Nie rzekłszy słowa obie kobiety zbliżyły się do młodej panienki, i zaczęły wlec ją do karety.

— Czego chcecie odemnie? — krzyknęła strwożona. — Nie zabierajcie mnie ztąd przemocą! Ratunku! Ja mam przyjaciół, którzy potrafią skarcić sprawców tej zniewagi!

— One wszystkie mówią to samo! — rzekła obojętnie jedna z dozorczyń. — Zaprowadź ją, nie zważając na czcze gadanie!

— Bez wątpienia! — odrzekła druga, — dosyć już miałam z waryatkami do czynienia, aby mnie ich dziwactwa obchodzić mogły!

— Ależ posłuchajcie mnie! — rzekła Ellena, usiłując odzyskać spokojność, — ja nie jestem obłąkaną! Moi nieprzyjaciele was oszukali; ja doprawdy nie jestem szaloną!

— Ona chce lepiej wiedzieć, niż lekarze!

— Kanclerz także wie o tem dobrze!

— Albo jej własna ciotka, która tak ją doglądała troskliwie; biedna panienka, sama nie wie, co mówi!

Pomimo oporu Elleny, obie dozorczynie zawlokły ją do karety, gdzie lady Mowbray już miejsce zajęła. Uśmiechnęła się szyderczo na widok młodej panienki, którą zemdloną do pojazdu wsadzono.

Dla tem większej ostrożności, spuściła zasłony u okien karety, i przezorność ta zbyteczną nie była, bo na rogu uliczki ujrzała Joego i Khana, którzy pewnie nie byliby się dali zastraszyć wyrokiem lorda kanclerza.

Zuzanna wstydząc się, że na chwilę uciekła opuszczając powierzoną swej pieczy młodą panię, wracała właśnie w tej chwili, a spostrzegłszy drzwi otwarte i oddalający się powóz, odgadła całe nieszczęście i winę swoją. Szlochając, rzuciła się na szyję nadchodzącemu kochankowi.

— Przebacz mi! ach, przebacz! — zawołała.

— Przebaczyć ci, Zuziu! cóż takiego? czy to, żeś się przelękła?

— Ach Ellena... biedna miss Ellena! — szepnęła struchlała.

—Mów! co się stało? — zawołał Joe blednąc, — wszystko lepsze nad niepewność!

— Nie masz jej! odjechała, wpadła w ręce swoich prześladowców!

— Odjechała! — powtórzył Joe, — a to z mojej winy! Nie powinienem był ani na chwilę jej odstępować. Nie ma jej! a master Harry wróci niezadługo. Harry polecił mi, bym jej bronił, czuwał nad nią. Nie będę śmiał spojrzeć mu w oczy!

Pełen rozpaczy zakrył twarz szorstką dłonią, by ukryć łzy, które pomimowoli lica jego skrapiały.

Khan był również stroskany; żal mu było biednej sieroty, którą nowe czekały cierpienia; ale po kilku chwilach niemego zwątpienia, odzyskał znowu spokojność pozorną. Zbliżając się do zmartwionego towarzysza, położył ręce na jego ramieniu i zaklinał, by nie oddawał się rozpaczy.

— Niech będzie co chce, ja wam ją powrócę! — przemówił dobitnie.

— Panie czy to możliwe?

— Tak jest! przyrzekam ci to, a nigdy jeszcze nie złamałem obietnicy.

XVII.

W Londynie spotkać można setki ludzi przybierających tytuł ajentów, którzyby jednak w kłopocie byli, gdyby im kazano zdać rachunek z tego, czem się właściwie zatrudniają. Nie kupują ani przedają, a przecież żyją. Jedni chcą uchodzić za prawników, adwokatów, notaryuszów, choć ani jednego dokumentu nie napisali, drudzy mienią się wekslarzami, utrzymując, że eskontują weksle nieroztropnych spadkobierców małoletnich, chociaż nie mają czem zapłacić za najęcie lichego mieszkania swojego. Jest to plemię stworzeń, dla których uczciwość, zapomniana dawno, jest słowem bez znaczenia; przez nich zbrodnia jest oceniona według połączonego z nią niebezpieczeństwa; tacy ludzie są gotowi do jakiego bądź przedsiębiorstwa za stósowną opłatą.

Jednym z najsławniejszych tego gatunku był starzec czcigodnej powierzchowności, o którym ogólnie mniemano, że znacznego dorobił się majątku, chociaż uczciwy kupiec nie umiałby wytłumaczyć sobie, jakim sposobem; bo William Dawids nie trzymał ani towarów, ani ksiąg rachunkowych, w wydatkach swoich był oszczędny, a nigdy go na giełdzie nie spotykano.

Stara baba głucha, która od lat trzydziestu prowadziła szczupłe jego gospodarstwo w Clements-Inn, gdzie niewielki zajmował lokal, miała zwyczaj na zapytania ciekawych sąsiadów odpowiadać, że rzadko kiedy więcej jak raz lub dwa razy w tygodniu przyjmował odwiedziny. Wiedziano także, że nie często z domu wychodził, a ztąd wnioskowano, że choć nielicznych, ale dobrych musiał mieć klientów.

(Dalszy ciąg nastąpi.

GAWĘDZIARZ.

ZŁOTY KOŁOWROTEK.

(Ciąg dalszy.)

Tak wykładając swój sen wstała i zaczęła się ubierać. Zwykle nie potrzebowała do tego wiele czasu lecz tą razą jak najstaranniej się ubrała. Utrefiła sobie włosy i poprzeplatała je czerwonemi wstążkami, co tylko w święta zwykła była czynić. Sukienka jej była z lekkiej tkanki, lecz czysta i wstążką obłożona sznuróweczka z adamaszku, a koszula biała jak śnieg. Ubrawszy się tak, ślicznie wyglądała. Potem poszła do swej roboty.

Gdy się południe zbliżało, nie miała spokojności przy kołowrotku; wciąż miała na dworze coś do czynienia, a to tylko, by jeźdźca wyglądać. To też nie dał długo na siebie czekać. Dobrota ujrzawszy go z daleka, powróciła prędko do swego kołowrotka, by jej nie zobaczył i nie myślał, że go wygląda. Przybywszy zeskoczył z konia, wszedł do izby i pozdrowił ją grzecznie. Serce Dobroty tak mocno biło, że jej sznurówka niedziw była za ciasną! Matka zbierała drzewo w lesie; Dobrota więc była sama.

Gdy go przywitała i by usiadł poprosiła, poszła znowu do kołowrotka.

— Jak ci się spało? zapytał młodzian i wziął ją za rękę.

-- Dobrze panie!

— Co ci się też śniło?

— Ach ja miałam osobliwy sen!

— Opowiedz mi go; ja sny dobrze wykładać umiem.

— Nie mogę Wam go opowiedzieć.

— A dla czego nie?

— Bo mi się o Was śniło.

— Właśnie dla tego musisz mi sen twój opowiedzieć.

Tak umawiali się, aż mu Dobrota cały sen swój opowiedziała.

— Otóż aż do końca sen twój się ziścić może.

— Jakżebym ja mogła zostać kiedykolwiek taką panią?

— Czy nie chcesz być moją żoną?

— Panie żartujecie!

— Nie Dobrotko, to nie żarty. Ja tak myślę rzeczywiście i umyślnie dziś przybyłem, aby cię zapytać, czy nie zechcesz oddać mi twej ręki?

Dobrota namyśliwszy się cokolwiek, podała rumieniąc się rękę młodzieńcowi. Wtem weszła matka. Młodzieniec pozdrowił ją i wyjawił jej zaraz bez ogródki, że Dobrotę kocha, tak jak ona jego, i że im do zupełnego szczęścia niczego więcej nie potrzeba, jak macierzyńskiego błogosławieństwa.

— Mam własny dom — dodał — i jestem w stanie żonę utrzymać; a i dla Was, matuchno, jest dosyć miejsca w moim domu i przy moim stole.

Słysząc to stara, nie opierała się długo i dała im swe błogosławieństwo; poczem rzekł młodzian do Dobroty:

— Prządź tylko pilnie, moja droga! Gdy na koszulę ślubną uprzędziesz, przybędę po ciebie.

Potem ucałował ją, podał matce rękę, wskoczył na konia i spiesznie odjechał.

Od tego czasu matka z Dobrotą o wiele lepiej się obchodziła. Za pieniądze, które im pan był zostawił, kupiła cokolwiek odzieży dla Dobroty, wszelako Złoboga najwięcej dostała. Dobrotę to wcale nie gniewało; jej całem szczęściem było przy kołowrotku siedzieć, pilnie prząść i marzyć o swym narzeczonym.

Tak jej upływał czas, i nim się spostrzegła jak na koszulę ślubną była uprzędła. Narzeczony musiał to pewnie wyrachować, przybył bowiem w samą porę, jak obiecał. Dobrota pobiegła naprzeciw niego, a on przycisnąwszy ją do serca, zapytał żartobliwie:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIECI WDOWY.

POWIEŚĆ MORALNA.

— DLA —

DOJRZAŁEJ MŁODZIEŻY.

(Ciąg dalszy.)

Werner leżał w swojej stancyi na łożu i błagał Boga we łzach gorących, których się nie wstydził stary ten żołnierz, aby udzielił młodemu przyjacielowi dosyć siły i odwagi przy spełnieniu na nim wyroku śmierci. W tem przebudził go radosny okrzyk, który się coraz więcej przybliżał. Machinalnie postąpił do okna, spojrzał w ulicę i ujrzał dojeżdżający pojazd otoczony tłumem ucieszonego ludu.

— Cóż znaczy ta radość? zapytał z nieukontentowaniem jednego z przechodniów.

— Zejdź tylko, zawołał zapytany, a założę się, że będziesz tę radość z nami podzielał, w tym oto powozie powraca nasz Edward, jest on niewinnym, wszystko się już wykryło. Na to zamknął Werner okno tak silnie, iż się rozbiło, i pospieszył niebezpiecznym skokiem ze wschodów na dół, stanął zadyszony u drzwi karety i prawie jak waryat ściskał rękę to Edwarda to Maryi, to znów księdza plebana, i wychwalał głośno dobroć wszechmocnej opatrzności.

— Dla czegoż słyszę ciągle nazwisko rudego młynarza, zapytał ochłonąwszy nieco z pierwszych uniesień radości zdziwiony Werner.

— On jest zabójcą, rzekł sędzia, i hersztem bandy, która oddawna tę okolicę przez okrucieństwa swoje niebezpieczną czyniła. Wysłałem właśnie naszych żandarmów, do których się wiele z ludu przyłączyło, aby znieść tę jaskinię łotrów. Ci nędznicy nie ujdą zasłużonej karze!

— Oho! zakrzyknął Werner pokręcając siwego wąsa, i ja tam być muszę! i wrócił do domu, gdzie jak najspieszniej osiodłał konia, który go w ostatnich latach służby z niejednego wyniósł niebezpieczeństwa, przypasał stary pałasz do boku a włożywszy długie pistolety w olstra, puścił się cwałem ku bramie, a ztamtąd przez pola ku młynowi ożywiony dawnem męztwem. Tak mocno spinał ostrogami konia dotąd w bezczynności stojącego, że ten porwany niejako pospiechem pana swego tak się rozpędził, że się wszyscy o Wernera obawiali, widząc go tak w cwale pędzącego.

Pojazd zatrzymał się przed domem sędziego, który Edwarda w towarzystwie księdza i Maryi do mieszkania swego wprowadził. Marya widząc brata ocalonego chciała zanieść pocieszającą wieść matce strapionej, ale sędzia i proboszcz wstrzymali ją od tego kroku.

— Nagłe uniesienie radości mogłoby i tak już osłabioną matkę życia pozbawić, dla tego zostawcie to mnie, abym chorą przysposobił do tak niespodzianej radości.

Projekt ten spodobał się, i sędziwy pleban pojechał z Maryą do wsi, gdzie jeszcze dużo ciekawych ku młynowi się cisnęło.

Edwarda zaprowadzono do łóżka; nagłe bowiem przejście do wolności pociągnęło za sobą szkodliwe skutki a potrzeba było największej ostrożności, aby rozdrażnione nerwy do stanu

spokojności przyprowadzić. Przywołany lekarz zastał go w niebezpiecznym bardzo stanie, dla tego nie odstępował łóżka ocalonego młodzieńca, zostającego w ciężkiej gorączce. —

ROZDZIAŁ XI.

Złoczyńcy odkryci i uwięzieni.

W młynie panował ruch nadzwyczajny. Zawsze tu we dnie w pustych komnatach grobowe panowało milczenie, kiedy przeciwnie w nocy nieraz się przechodzącym dawało słyszeć stąpanie, otwieranie i zamykanie wielu drzwi, i głuchy szmer pomięszanych głosów. Nikt jednak nie odważył się mówić, bo wszyscy prócz jego towarzyszów obawiali się i nienawidzili rudego młynarza. Kiedy noc czarnym kirem całą pokrywała okolicę, zdawał się tam przebudzać podziemny ruch w godzinach spoczynku. W koło okrągłego stołu siedziało w najgłębszej izbie młyna wielu brodatych ludzi z wyrazem zbrodni na posępnych twarzach. Inni znowu leżel na posłaniu słomianem, a wszyscy jakby na coś czychali. Na ścianach wisiały błyszczące strzelby i inna broń, a napełnione winem dzbanki kursowały bezustannie z ręki do ręki.

— Gdzież się też młynarz dziś tak długo bawi? zapytał wysoki chudy mężczyzna z najeżonym włosem i nieprzyjemnym wzrokiem. Był to ten sam, którego młynarz na górze Piłata spotkał, a którego banda rabusiów Sową nazywała.

— Oto nas się nie pytaj! odparł inny; przygląda on się zapewne uczcie, bo nasz Tomek — tak nazwał kata — traci dziś tego mizeraka. Jak on się to nazywa?....

— Edward Sterburg! mruknął złośliwy Sowa szydersko; dziękuję losom że mi pozwoliły doczekać tej chwili, dodał nędznik z łotrowskim uśmiechem.

— My o tem wiemy, zażartował sobie jeden z hałastry, ty masz Sterburga na oku — twoje zdrowie bracie; wino ci musi dziś nadzwyczajnie smakować.

Cynowe kubki uderzyły o siebie, a wyrzutki ludzkości z wszystkich krajów zapijali tu zdrowie jeden drugiego.

Wtem wtoczył się wóz na dziedziniec.

— To zapewne młynarz, rzekł Sowa — poczem też zaraz młynarz w grono towarzyszów wstąpił.

— Niech żyje dowódzca! zakrzyknęli wszyscy i na nowo zabrzmiały kubki za jego zdrowie.

— Tylko spokojnie moi przyjaciele, spokojnie, bo zanadto hałasujecie, bądźcie ostrożnymi, gdyż taka nierozwaga często złe skutki za sobą pociąga. To rzekłszy usiadł, wychylił podany mu kubek i zamyślony wsparł głowę na obu rękach.

— Cóż tak rozmyślasz? zapytał Sowa przerywając milczenie, jesteś blady, powiedzże cóż jest przyczyną twej bladości?

— Nic, szczebiotliwy ciekawcze, łajał go młynarz; myślałem właśnie nad nami, mam bowiem jakieś przeczucie, że w Związku Szwajcarskim niedługo będziemy pewnymi. Lubom się wywinął z ostatniej awantury, będą mnie jednak baczniej śledzili, i czy prędzej czy później wszystko się wyjawi.

— Masz słuszność, zawołał jeden z zgromadzonych, był to gospodarz szarej karczmy, mnie się zdaje że....

— Nic ci się zdawać nie powinno! krzyknął z gniewem młynarz podnosząc się zwolna; tak rozwiozłej hałastry nie miałem nigdy w mojej bandzie, jak właśnie teraz.

Usiadłszy znowu tak mówił dalej:

— Czyż nie byłoby lepiej gdybyśmy do Francyi uszli; sprzedam mój młyn przez publiczną licytacyę, podzielimy się pieniędzmi, i udamy się w podróż. Jakżeż wam się mój plan podoba?

— Pójdziemy za tobą! krzyknęli po krótkim namyśle zasępieni towarzysze.

— Zawszeście rozproszeni, czasem przez dwa tygodnie żadnego z was nie widzę, jak to temu niedawno, gdzie chcąc sprzątnąć dwóch kramarzy, twojej musiałem wezwać pomocy, mówił młynarz do Sowy, który na to głową potakiwał. — Jak będę miał Szwajcaryę po za sobą, dopiero wolniej odetchnę.

— Niechże i tak będzie! zawołali wszyscy i podali sobie na dowód wierności zabójcze swe dłonie.

— Pan Edward mógłby nam już teraz powiedzieć, jak na drugim świecie wygląda, rzekł

z szyderstwem jeden z rabusiów. Dałbym co za to, gdybym się mógł dowiedzieć, co się z nami stanie, jak krew w nas zastygnie?

— A cóż by z nas miało być? drwił sobie przemądrzały Sowa: tłusty kąsek dla robaków, i nic więcej. Złam roślinę a ta zwiędnieje i słońce ją na proch spali. Ubij zwierza i powróć za kilka tygodni w to miejsce, a ujrzysz szkielet od licznego roztoczony robactwa. Nie jedno zwierzę jest sposobne, silne a nawet szlachetne, ma więc zmysły jak człowiek; dla czegożby tylko ten, a nie zwierz miał żyć i nadal? cała natura człowieka jest tak urządzoną jak u zwierząt. Ludzie i zwierzęta śpią, piją, jedzą, kradną, kłócą się i zabijają jedno drugie, małą więc tu znajduję różnicę. Jak się życie wyzionie, pokryje kilka garści ziemi trupa, i koniec. I cóż mi wieczność! zawołał z uśmiechem, i wszyscy z nim głośno śmiać się poczęli.

— Tak masz słuszność, zawołał młynarz, z życiem wszystko się kończy. Sława niewinność, cnota — na cóż te świecidełka? tem sobie nikt ani szeląga nie zarobi. Dziś dopiero wysłaliśmy niewinnego wbrew jego woli do uciech niebieskich, podczas kiedy my winni, silni, weseli i bezpieczni tutaj sobie zapijamy. Gdyby za to była jaka kara, tak bluźnił bezbożnik — dla czegoż ta Wszechmocna istota nie ocala niewinnego? precz z tem wszytkiem, rzekł z uśmiechem i miną tryumfującą: jak puls bić przestanie, już po.... Cóż to?

Zapukano silnie do drzwi ściennych, pomięszane głosy zabrzmiały przed domem, a pies podwórzowy głośno skowyczeć począł.

— Cóż to? zakrzyknęli powtórnie wszyscy bladnąc ze strachu. Młynarz poszedł do okna, lecz zaledwie rzucił wzrok na ulicę, kiedy cofając się „zdrada!" zawołał.

— Zginęliśmy! mruknęli zabójcy: dom obstawiony wojskiem, pochwyćmy za broń!

— Nie zginęliśmy jeszcze, zawołał Sowa, wstydźcie się wy tchórze, śmierć lub zwycięztwo niech będzie naszem hasłem! To mówiąc wypalił przez okno z pistoletu, a dobrze ugodzony żołnierz powalił się na ziemię.

Młynarz zszedł ze wschodów, osiodłał konia, i ukrył się w stajni, oczekując chwili, w której by mu się stósowna do ucieczki nastręczyła pora. Kilka siekier usiłowało wysadzić drzwi które nareszcie z biegunów wyparte, z trzaskiem runęły na ziemię. Długo opierali się rozbójnicy pod przewodnictwem Sowy nacierającym od bramy żołnierzom. Nareszcie musieli ustąpić morderczemu ogniowi, i wyjąc pierzchli w środek młyna, gdzie zamknięci musieli położyć koniec zaciętej walce. Korzystając z ogólnego zamięszania, wyszedł młynarz z swojej kryjówki, dosiadł konia i z zaciętością rozpaczającego, przełamywał cwałem pędząc szeregi walczących, Kilka jeźdźców puściło się za nim, ale zostali daleko za pierzchliwym jego rumakiem. Już sądził, że jest ocalonym, kiedy koń jego ugodzony dobrze wymierzoną kulą pistoletową rżąc od bólu pod nim się powalił. Kula ta padła z pistoletu Wernera, który spostrzegłszy uciekającego, szybko pogonił. Nie namyślając się długo strzelił do niego młynarz z pistoletu, ale chybił, a Werner tak go silnie w czaszkę pałaszem ugodził, że się bez przytomności na ziemię potoczył. Werner skoczył prędko z konia i zawiązał z największą ostrożnością ranę młynarza leżącego na ubitym swym koniu.

— Dzielnie! dzielnie! wołali jeźdzcy, którzy się już zbliżyli, winszujemy panu Wernerowi; ale cóż czynisz? zdaje nam się, że zawięzujesz ranę temu niegodziwcowi!

— Tak jest moi panowie, odparł stanowczo Werner; nie byłoby mi przyjemnie, gdyby ten nędznik tak się tanio okupił.

Wszyscy się rozśmiali z jego miłosierdzia i wrócili trzymając herszta rabusiów w środku w tryumfie do młyna. I tu już było po pracy, bo częścią skrępowani, częścią ranni i zabici leżeli zabójcy na ziemi. Sowa leżał między trupami. Blady i drżący stał oprawca spoglądając na spustoszenie, jakie jego zeznanie zrządziło.

— Zaprowadźże nas do ukrytego sklepienia, jakżeś nam przyobiecał! rzekł tonem rozkazującym dowódzca oddziału żołnierzy do przestraszonego.

— Podajcież mi pochodnię. Podano mu ją, a świadomy miejsca prowadził żołnierzy chwiejącym się krokiem ciasnym i dosyć długim korytarzem, aż zatrzymali się przy drzwiach mocno zamkniętych. Wybito je i zeszli wązkiemi kręconemi schodami na dół, gdzie przybywszy dostali się do nizkiego sklepienia. Powietrze zabijające na wchodzących uderzyło i o mało pochodni nie zagasiło.

Straszne te przysionki były przybytkiem niegodziwości, gdzie człowiek, niepomny na lu-

dzkość, z zimną surowością, brata swego mordował. Z chęcią morderstwa chodziła tu w parze podła chciwość pieniędzy, i płodziła pokrytą ciemnością hańbę ludzkości. Przerażający widok przedstawił się oczom przychodniów, krwią zbryzgane szczątki sukien, broń, tłomoki, powrozy i łańcuchy leżały tu porozrzucane dokoła. Wszyscy zwrócili się teraz w stronę, którą im oprawca wskazał. Rączo zaczęto kopać, i nie zadługo trafiono na miękki jakiś przedmiot a wyrzuciwszy kilka garści ziemi, spostrzeżono dwóch ranami zeszpeconych trupów. Niejeden nieszczęśliwy pojmany, którego zabójcy przywlekli, ducha tu wyzionął. Szatańsko wymyślone urządzenia nie pozwalały przedrzeć się głosowi wołającemu o pomoc, i niesłyszanym musiał zamilknąć krzyk śmiertelny i zamrzeć w podziemnych sklepieniach. Krew gęsto osiadła na ścianach tego miejsca przerażającego świadczyła o spełnianych często zbrodniach, od wielu lat, jakby nie chciała zatrzeć krwawej i okropnej pamiątki. Śledzący dosyć już widzieli i pobiegli z nieprzyjemnej ciemności do światła.

Spiesznie powiązano złoczyńców parami do siebie, rannych powsadzano na wozy na ten cel przeznaczone, i zwolna ruszył pochód z Wernerem na czele ku miastu. Lud rzucił się w środek młyna mimo usiłowań siły zbrojnej, rzucał głownie rozpalone w gumna i śpichlerze i w krótce wzniósł się płomień wysoko i obrócił w perzynę całą siedzibę zbrodni.

Z radosnym okrzykiem posuwano się naprzód a nieprzejrzane tłumy wychodziły z miasta naprzeciw wracającym. Wesołe okrzyki ludu wywierało rażącą sprzeczność od posępnych, którzy jak posągi w zemyśleniu z woza spoglądali. Pochód zatrzymał się przy więzieniu. Werner zsiadł z konia, i urządził mieszkania dla nowych swych gości, a kiedy już wszystkich zabezpieczył, pospieszył ile tylko mógł do domu sędziego, aby tak jemu jako też i Edwardowi wszystko opowiedzieć. Przybyłemu nie pozwolono się widzieć z Edwardem, a tem mniej mówić z nim. Lekarz bowiem oświadczył, że jakiekolwiek bądź rozdraźnienie nerwów i tak już wstrząśnionego organizmu, o śmierć by go przyprawić mogło.

— Pan Bóg nie opuści mego panicza, rzekł Werner, wywiódł go z tak wielkiego podejrzenia, i teraz go zapewne wesprze silną swą opieką. Kto Bogu zaufa, sprawiedliwie żyje i rodziców szanuje, ten się niczego niech nie obawia w największem nawet niebezpieczeństwie. Jeźli sumienie jest czyste, to i ciało niezepsute wnet wyzdrowieje; ale gdzie dusza dręczona wyrzutami sumienia, tam i najsilniejsze ciało wnet się rozchwieje, wszystko z Bogiem! Nic bez niego! To mówiąc dosiadł Werner rumaka, niewidziawszy się z Edwardem, i rzucił się wróciwszy do domu, zmęczony trudami dnia tego na łoże i wkrótce zasnął snem spokojnym.

ROZDZIAŁ XII.

Sen złoczyńcy.

W ciemnym więzieniu leżał skrępowany rudy młynarz. Nieznośny ból głowy było to uczucie które go ze snu zbudziło. Już było późno w noc, i jakby od niechcenia rzucał czasem księżyc, wynurzając się z pod ciemnych chmur, blade swe promienie na szare ściany, które więźnia otaczały. Tysiące przerażających obrazów pojawiało się w piersi bezbożnika, a nagła zmiana jego położenia wystąpiła żywo przed grzeszną jego duszą. Słyszał on bicie serca i drganie wzruszonych pulsów. Przechodził go dreszcz śmiertelny; zdawało mu się bowiem, że słyszy głuchy jęk i rozdzierający krzyk pomordowanych przez niego ofiar. Nie mógł spać mimo wszelkich usiłowań, bo w głowie jego zaczęły się krzyżować najdziwniejsze wyobrażenia. Z zamkniętemi oczami rzucił się znowu na łoże i uczuł wiele udręczenia we śnie i na jawie.

W tem zapowiedział zegar godzinę północną. Z dwunastem uderzeniem nastąpiło ponure milczenie; od czasu do czasu dało się tylko słyszeć ciche świerszczenie świerszcza. Na stole stał dzbanek gliniany, w którym się coś gotować i szumieć poczęło, zdawało mu się czasami, że słyszy skomlenie psa, który się jakby głosem ludzkim uskarżał. Podniósł głowę bez przytomności i potoczył osłupiałym wzrokiem po więzieniu skąpo oświeconem. Szum w dzbanku w rozognionej jego fantazyi coraz więcej się wzmagał; zdawało mu się także, że się posadzka pod nim porusza. Włosy powstały mu na głowie, a pot zimny pokrywał jego drżące członki, oddech mu się zatrzymał na ustach, i niezadługo ogarnął go niewymowny strach

przed zbliżeniem się duchów. Zaczęło się coś poruszać we wszystkich kątach jego więzienia. Głuchy szmer rozszerzał się w pustej przestrzeni więzienia, a czasem ukazał się z dzbanka niebieskawo-czerwony płomień. Nie chciał już więcej widzieć, i zawarł jeszcze mocniej i tak już zamknięte powieki tak, że brzydkie zmarszczki twarz jego pokryły. Im jednak mocniej zamykał powieki, tem bardziej mu dopiekał padający płomień ze złowieszczego dzbanka, który się czasem zmniejszał, czasem znowu olbrzymio wybuchał.

Z powstającego dymu żółto - siarkowego utworzyła się wreszcie karłowata postać ludzka, dwie piędzie wzrostu mająca, usiadła przy dzbanku, wyjęła małą fajeczkę i wypuszczała olbrzymie kłęby dymu z ust. Dym zwijał się w ciemny kłąb na ziemi, z którego się powoli stół i cztery stołki formować poczęły.

Mała figurka coraz bardziej dymiła; duszący swąd rozszedł się po gmachu. Każda chmurka którą mały potwór z ust wypuszczał, przeistaczała się na ciemną postać ludzką a ta wiła się jak wąż ku stołkom. Stół się zapełnił, a w tem pękł dzbanek z wielkim łoskotem; zbrodniarz się zaląkł, a kiedy powtórnie oczy otworzył, była komnata jasno oświeconą, około stołu zaś siedziały czarne postacie z brzydkiemi twarzami. Każdy z tych duchów nocnych trzymał sowę na wielkim palcu, które jaskrawym wzrokiem na młynarza spoglądały. Z dziwacznemi poruszeniami rozprawiało towarzystwo, jakby czekało o godzinie północnej na jakąś sprawę. Cichy śpiew grobowy rozległ się zwolna w powietrzu, ściana się otworzyła, z poza której wyszły blade postacie; smrodliwy zapach zgnilizny trupiej wcisnął się za niemi do więzienia.

Oczy młynarza rozwarły się szeroko, jakby chciały, opuścić swoje siedziby; chciał wołać, ale głos jego zamarł na ustach. Poznał bladych gości — były to ofiary jego zabójstwa. Nie mógł ani ócz zamknąć, ani się modlić; bezwładny musiał czekać okropnego końca. Czarne postacie kłaniały się postaciom w białych sukniach. Sądzono tu ciężkie zbrodnie; zmartwychpowstali byli tu świadkami. Wymieniono i jego nazwisko, które go jak piorun ugodziło, począł dzwonić zębami, a włosy na głowie posiwiały. Inni mruczeli o potępieniu; posłuchał — i o zgrozo! on to właśnie był tym potępionym.

— Powstańcie duchy! zawołał prezes sądu, tam oto leży pokrzywdziciel Boga i ludzkości; weźcie go sobie, on do was należy. Obrzydłe postacie wysunęły się z zwiniętego kłębu i tańczyły w dzikich skokach około zbrodniarza. Wszystkie sowy także się zleciały i zatopiły zwolna swe szpony w piersi nieszczęśliwego.

Z głośnym okrzykiem zbudził się powoli; a gdy otworzył oczy ujrzał Wernera przed sobą, który nocną straż odbywając, na krzyk jego przybiegł.

— Dla czegoż tak krzyczycie o godzinie północnej? cóż wam się stało zapytał Werner spozierającego jakby we śnie jeszcze młynarza. Gdy mu jednak w twarz zaświecił; zadrżał nieustraszony dotąd żołnierz przed okropnym obrazem rozpaczającego. Członki młynarza były jakby pokrzywione. Oczy jego zapadłe błądziły w około jak oczy waryata; a włos jego nagle posiwiał.

— Boże mi dopomóż! cóż to jest? zawołał Werner z przestrachem, wyglądasz jak potępieniec.

— Tak jest, odparł bezprzytomny młynarz, ja też jestem potępieńcem.

— Czyż teraz depiero o tem wiesz?

—Gdybyś był prędzej przyszedł przyjacielu, byłbyś widział rzeczy, rzeczy — powiadam ci, że to jest strasznie być potępionym.

— Pójdę ci po księdza, rzekł Werner, którego to opowiadanie zimnym przeszło dreszczem, jesteś bardzo słaby, a tak umierać byłoby okropnie.

— Zostań! zawołał strachem śmierci zdjęty młynarz; nie opuszczaj mnie; bo jak się oddalisz, postacie brzydkie znowu wrócą i będą mnie dręczyły.

— Pomyśl o Bogu, napomniał go Werner, puść mnie, pójdę ci po księdza abyś się mógł wyspowiadać.

— Tak, jest Bóg na świecie, rzekł drżący i coraz słabszy zbrodzień. Sowa niesłusznie utrzymuje, że z życiem doczesnem wszystko się kończy; nie, nie kończy się; okropnie jest na tamtym świecie; ach! zimno mi się robi! Nieprawdaż i ty drżysz przed śmiercią? zapytał Wernera, który bacznie jego poruszenia śledził.

— Nie, nie boję się śmierci, odparł Werner stanowczo. Bez najmniejszej bojaźni nieraz jej w oczy spojrzałem.

— I dla czegóż to ja się tylko śmierci obawiam?

— Bo jesteś wielkim grzesznikiem, bluźniłeś przeciwko wszechmocności Boga, dla tego drżysz, a bluźnierca słusznie się śmierci obawia. Radzę ci wyspowiadać się z tych zbrodni, Pan Bóg jest miłosierny, On i tobie przebaczy.

— Tego nie uczyni, przerwał mu żywo młynarz, nie, nie uczyni. Masz krótką pamięć przyjacielu; czy nie wiesz, że jestem potępionym? wszakżem ci to sam przedtem powiedział.

To był tylko sen, przez który cię Bóg napomniał, abyś się przebudził z życia grzesznego. Musisz umierać, nic cię już ratować nie może. Chcesz się w rozpaczy na tamten świat przenieść?

— W rozpaczy mówisz, czy jesteś lekarzem, że mi z twarzy rozpacz wyczytujesz? mów jak wyglądam?

— Okropnie cię ręka Przedwiecznego dotknęła; każdy to z rysów twoich wyczytać może; do tego nie potrzeba koniecznie wiele nauki.

— Żadna mnie ręka nie dotknęła, rzekł z uśmiechem waryat, jesteś bluźniercą! wcale mnie inne rzeczy dręczyły, Ale kiedy nie jesteś lekarzem, czemże się więc trudnisz? czemsiś przecież się zajmujesz!

— Nazywam się Werner, rzekł z przyci skiem zapytany, i nie jestem niczem więcej, jak dozorcą więzienia w mieście Lucern.

— Tak, tak; rzekł młynarz w głębokiem zamyśleniu; nagle jednak zawołał: Precz z tobą, albo cię w sztuki porozdzieram, pojmałeś mnie wczoraj; tak, zawołał macając się po głowie, powaliłeś mnie cięciem pałasza na ziemię. Poczekajno! — z wściekłością poskoczył, aby uderzyć na Wernera, ale łańcuchy znowu go do łoża przyciągnęły. Oburzony i zimnym przejęty dreszczem, opuścił Werner więzienie, aby do rozpaczającego, księdza sprowadzić.

Niezadługo powrócę, zawołał we drzwiach; módl się do Boga, gdyż jest czas największy, zwrócić umysł zatwardziały do Wszechmocnego. To wyrzekłszy zamknął drzwi, których trzask rozległ się po ganku.

Co prędzej pobiegł Werner do księdza i prosił go, aby raczył z nim pójść, opowiedziawszy jak tylko mógł najkróciej całe zdarzenie. Ksiądz wzruszony tem opowiadaniem, ubrał się spiesznie i pospieszył z Wernerem do więzienia. Tu przybywszy, weszli do góry ciemnemi wązkiemi schodami, które małą lampką skąpo tylko było oświetlone. Wybiegł naprzeciwko nich odźwierny, i prawie bez tchu zawołał.

— Dzięki Bogu, żeście panowie przybyli; już mi się źle robiło. Młynarz szaleje, że aż strach pobiera; przyznaję się żem sobie nie dowierzał wnijść do więzienia.

Gdy to wymówił, głuchy krzyk jakoby konającego rozległ się po pustych korytarzach. Był to krzyk młynarza, po których głębokie nastąpiło milczenie. Natychmiast biegną przelęknieni ku owemu korytarzowi; gdy do drzwi przyśli, podsłuchiwali zatrzymawszy oddech w piersi, mimo to nie słyszeli żadnego poruszenia w więzieniu. Werner otworzył drzwi, a odźwierny przyświecał; leżał zaplątany w kajdanach z siniałą twarzą.

— Może go jeszcze ocalimy, odezwał się pleban, uwolnijcie go z więzów. Odźwierny z Wernerem usiłowali uwolnić ręce kurczem na piersi ściśnięte, które kajdany podwójnie około szyi okręciły. Nakoniec udało im się, a szaleniec otworzył oczy. Leżał on z dzikim wzrokiem zwróconym na otaczających go, jak ten któremu zemsta umierać wzbrania; a chociaż nić życia jego słabo się tylko trzymała, chociaż w każdem oka mgnieniu mogła się zerwać, Bóg dopóty ją utrzymał, dopókiby żal szczery w sercu jego się nie odezwał.

— Weźmij w myśli łaskę Boga, zawołał kapłan, nachylając się do nieszczęśliwego, a konający ostatnich dobywając sił, wyrzekł:

— Boże bądź miłościw, i wyzionął ducha w ręku kapłana.

— Takie było zrządzenie Boga, rzekł kapłan mocno wruszony, umierając wzywał on miłosierdzia Jego, a chociaż całe jego życie było życiem zbrodni, jednakowoż nieograniczone jest miłosierdzie Boga i niedościgniona drogi Jego. Dla tego módlmy się za grzesznika. To wymówiwszy ukląkł wraz z przytomnymi, i wszyscy głęboko wzruszeni wznieśli modły za zmarłego.

ROZDZIAŁ XIII.

Narzeczeni.

Już cztery upłynęły miesiące jak Edward całkiem uzdrowiony do matki powrócił, a zło-

czyńcy zasłużonę odebrali karę. Pan Ignacy codziennie prawie odwiedzał widocznie się na siłach wzmagającą wdowę Sternburg, a im częściej ją odwiedzał, tem chętniej przestawał w domowem gronie uczciwych ludzi. Pan Ignacy i Edward coraz bardziej do siebie się zbliżali i rzadko widziano jednego bez drugiego. Od kilku dni był pan Ignacy całkiem w myślach pogrążony i rzadko się tylko odezwał nawet do swego młodego przyjaciela. Jedna tylko myśl go zajmowała i w niej się zatapiając obojętnym był na wszystko co go otaczało. Chciał się dowiedzieć pewności o czem myślał. Ta pewność łatwo go mogła zawieść na celu jego życzeń, i doprowadzić do próżni, któraby mu pewno wszystkie jego życia przyjemności zatruła.

Słońce weszło, a naokoło rozjaśniły się śnieżne gór wierzchołki pośrebrzone urczą jasnością. O jak błogo jest napawać pierś rozkoszną naturą alpejską! zawołał Ignacy w uniesieniu, przed wschodem słońca w górach na zwierza polując. Stał właśnie nad wodospadem, który spieniony po nizinach się rozlewał. Tajemnicza posępność skamieniałego na okół przyrodzenia silnie jego umysł zajęła, i zdawała się pociągać go na tajemne swe łono.

— Gdyby i serce Maryi skałą było dla moich uczuć, rzekł teraz z westchnieniem, gdyby jej serce do kogo innego należało! Lecz nie, jej czyste oko nie zwodzi, pierwejby się noc dniem nazwać mogła. Z siłą przedziera się ów wodospad przez tysiączne przeszkody, mówił zatopiony całkiem w tym widoku, dopiero pędzi śmiało, to znowu mruczy głucho wydobywając się ze szczelin, jakby się obawiał o życie. Uwolniony jednak zbiera się w skalistej kotlinie i kipiąc spada z chlubną dumą, jak marnotrawca z piorunującym okrzykiem radości w głęboką przepaść, gdzie ginie w zimnych wód objęciu. Równie jak z tym wodospadem dzieje się z niejednym śmiertelnym. Z niewstrzymaną prędkością rzuca się niejeden z piersią pełną życzeń gorących w odmęt światowego życia, aż nakoniec słabą nogą wstępuje w granice ciemności grobowej, gdzie wszystkie jego życzenia w niszczącej spoczywają ziemi. Jak często napawałem się malowniczemi okolic urokami, które się tu przez najdziwniejsze położenie wód z skałami oczom przedstawiają! O jakże błogo mi było często, gdym za płochym goniąc zwierzem wdarł się po skał ramionach na strome wierzchołki, które nieostrożnemu wielokrotną grożą śmiercią! lecz teraz wszystko mi się inaczej wydaje. Nie radość ale smutek uczuwam na widok tych błoni.

— I cóż sprawiło tę zmianę? zapytał doktor z uśmiechem przerażonego.

— Ach i ty tu? właśnie mi w porę; ale jakim zeszliśmy się tutaj trafem?

— Chciałem kilka roślin poszukać, odrzekł lekarz, dla tego przed wschodem słońca łoże opuściłem. Gdym już miał dworzec za sobą, spostrzegłem cię w niejakiej odległości. Pobiegłem za tobą i miałem to szczęście przysłuchać się twej z sobą rozmowie.

Pan Ignacy uśmiechnął się przygrażając palcem, gdy tymczasem żywy rumieniec na twarz mu wystąpił.

— Panie Ignacy, mówił lekarz z szczerością do marzyciela, co teraz wiem, z pewnością to już dawniej przeczuwałem: kochasz Maryę. Miłość ku niej zbyt głęboko zakorzeniona w sercu twojem, abyś bez niej mógł być kiedyś szczęśliwym. Jak drzewo obsypane kwieciem, którego jeżeli przedwcześnie mrozy nie zniszczą, cieszy się nadzieją osięgnąć to, na czem prawdziwe szczęście zależy, tak i ty nie trać nadziei, miłość twoja ku Maryi dążyć powinna do swego celu; nie dręcz się dłużej tą niepewnością, bo przez wątpliwość stargasz twe siły zupełnie. Odkryj szczere twe przywiązanie dziewicy i połącz się z Maryą węzłem małżeńskim. Marya nie odmówi, o tem jestem przekonany, gdyż ona oddawna już podziela miłość twoją w skrytości.

— Gdybyś prawdę mówił, doktorze, byłbym najszczęśliwszym z ludzi.

— Gdyby, i zawsze gdyby, rzekł żartobliwie lekarz, wybadaj i mów z dziewicą, a wszystkie wątpliwości znikną.

— Tak, kochany doktorze, dopókąd jestem oddalony od niej, mogę mówić rozsądnie; ale jedno jej spojrzenie skruszy wszystko jak dziecinne zabawki. Ja myślę, ja czuję to, że mi Marya z serca sprzyja, ale wacham się nawet sam sobie to wyznać. Tak więc czuwam i śpię czuwając.

— Prawna i szczera miłość wymaga otwartego zeznania, dla tego, panie Ignacy, chodź teraz ze mną do Maryi, zrzuć ciężar z piersi, a w kilku dniach, chcę się o to założyć, że zajdzie

zmiana w twym domu. Marya jest niewinną i piękną dziewczyną i będzie ci też wierną małżonką.

— O tak śliczna jest Marya jak ranek wiosenny, rzekł Ignacy z zapałem, a co mnie najwięcej do niej pociąga, oto serce jej szlachetne. Tak przytomna we wszystkiem co mówi, tak wzniosła nad zwykły tłum lalek zalotnych! tak pełna dobroci! Widziałem ją w kościele Lucernskim modlącą się z szczerością i niewymuszonem nabożeństwem. O doktorze, taką posiadać istotę, byłoby zapewne wielkiem szczęściem.

— Tak, wszystko to przyznaję, a ponieważ zawsze odemnie, jako od starszego i doświadczeńszego zasięgałeś rady, przyznam się, że wybór ten bardzo pochwalam, ale milczenie twoje wcale mi się nie podoba, musi się to skończyć, i to dziś jeszcze. Pójdź tylko, pójdź marzycielu do twej wybranej!

Wśród podobnych żartów sprowadził doktor wachającego się Ignacego z skalistych gór.

— Piękny dziś poranek, rzekła wdowa do syna, który jej właśnie przystępując do łóżka dzień dobry powiedział.

— Tak bardzo piękny, rzekł Edward spoglądając przez okno na mały ogródek, w którym Marya siedząc, z rozrzewnieniem na piękną poglądała naturę. Że to był właśnie dzień świąteczny, miała na sobie białą sukienkę, a róża zdobiła jej ciemne włosy.

— Od niejakiego czasu, rzekł Edward, siadając przy łożu matki, bardzo się Marya zmieniła; także pan Ignacy jest coraz mniej otwartym dla mnie, chciałbym się założyć, że oni sobie sprzyjają. Ale cóżby ztąd wynikło? on bogaty, a ona uboga!

— Dziękuję ci, żeś mi na to zwrócił uwagę, rzekła matka, ostrożność ta jest konieczną. Pan Ignacy jest młodzieniec szlachetny, skoro dziś przyjdzie, zostaw mnie z nim samą; aby złe miał ku mnie zamiary, tego nie uwierzę. Edward otworzył w milczeniu książkę od nabożeństwa i czytał matce jak zwykle modlitwy poranne.

Marya siedziała spokojnie w ogródku i zdawała się być głęboko zamyśloną; przestraszyła się nagle, gdy jej pan Ignacy w towarzystwie doktora niespodzianie „dzień dobry” powiedział.

— Jakże się miewa mama pani? zapytał doktor Maryi, której lica żywym spłonęły rumieńcem.

— Dziękuję, coraz bardziej przychodzi do zdrowia.

— To mnie bardzo cieszy, wkrótce jeszcze jej będzie lepiej, rzekł żartobliwie lekarz i wszedł do domu. Marya i pan Ignacy zostali sami. Marya jeszcze nigdy tak piękną, tak uroczą nie była, bo woń przyjemnego snu co tylko upłynionej nocy zdawała się owiewać przyjemną i miłą dziewczynę. Pan Ignacy usiadł przy Maryi i tak do niej przemówił:

— Przychodzę dziś do pani w szczególnym interesie: przyszedłem, aby wyznać przed przyjaciółką to, co dawno już ciąży na mem sercu, chodzi tu o moje szczęście.

— Mów pan i bądź pewnym, że szczęście jego bardzo mnie obchodzi, byłeś pan tak wspaniałomyślnym.

— Przestań pani o tem, przerwał jej pan Ignacy, kochana Maryo, rzekł dalej: przez moje podróże, różne przeszedłem koleje, jednakowoż nowe dotąd nieznane mi uczucie napełniło mą duszę. Wszelka chęć do zabaw, do błogich ich zmian jest dla mnie obcą, domowe szczęście jedynie duszę mą zajmuje, i do niego ciągle wzdycham. Ani odgłos trąbki alpejskiej, ani szum wzburzonego jeziora, ani widok wschodzącego słońca, ani uganianie się za zwierzem po stromych skał urwiskach nie zagłuszy tej myśli, która wszystkie moje życzenia w swojem ukrywa łonie. Nawet przyjemne tony muzyki nie zbudzą uśpionego ducha i nie ożywiają w nim współudziału dla harmonijnego wdzięku. Tak uchodzi dzień za dniem, przyzwyczajenie nie zmienia bólu, owszem z każdym porankiem w podwójnej czuję go sile. Czuję wielkie przywiązanie do pewnej dziewicy.

— I podziela ona pańskie uczucia? zapytała Marya, przerywając mu, nie śmiejąc podnieść ku niemu pięknych swych oczu.

— Tego właśnie nie wiem, a ta niepewność bardzo mnie niepokoi. Dla tego udaję się do pani: wybadaj serce dziewczyny, i jej ku mnie usposobienie. Maryi serce biło silnie, głęboka boleść ściskała jej duszę. Nakoniec odważyła się zapytać, ktoby był tą wybraną.

— Jest to panienka nieskazitelnych obyczai, z wyniosłą duszą, która w każdym jej ruchu, w całej powierzchowności dokładnie się odbija

i anielską jej nadaje postać. Ciemny włos spada w pięknych pierścieniach na jej białą szyję, a wzrok jej rzuca w duszę mimowolnie iskrę wyższej miłości. Nie ma piękniejszej rączki jak jej, mówił dalej pan Ignacy, wziąwszy Maryę za rękę, ani kształtniejszych palcy, przyznam się, że mi już słów braknie, abym mógł wystawić dostatecznie jej kształtną postać, pełną szlachetnego ruszenia. Dziś, rzekł ściskając czulej rękę, dziś biała suknia pokrywa jej udatną kibić, a wonna róża zdobi jej ciemne włosy.

Marya spojrzała nieśmiało na niego,. zdawała go się rozumieć i spuściła natychmiast oczy, a lekki rumieniec okrył jej lica.

— Tak, tak, ty to jesteś tą nadobną dziewicą, której obraz głęboko w mej duszy wyryty. O! przebacz mi, przebacz temu złudzeniu, które mnie tak niewypowiedzianie uszczęśliwia!

Potem wyznał jej, jak jej postać we śnie i na jawie ciągle go otacza, jak go jej obojętne branie się zajmowało, i jak wysoko czystą jej ceni cnotę. Oddaj mi twe serce, zawołał nareszcie, oczekując z obawą odpowiedzi.

— Panie Ignacy! gdyby teraz Edward... — ten wszedł właśnie do ogródka, bo wydalenie Maryi za długiem mu się zdawało, a spostrzegłszy pana gnacego siedzącego przy Maryi zawołał z oburzeniem:

— Jakto pan odważasz się niedoświadczoną dziewczynę ujmować pieszczotami!

— Tak jest, odparł Ignacy z niejaką powagą, odważam się i to tem więcej, bo w tych dniach chcę ją poślubić. Spądź chmurkę z zagniewanego czoła, zawołał czule rękę mu ściskając, pójdź z nami do matki, od dzisiejszego dnia zmień obojętność na przyjaźń braterską.

— Ignacy! zawołał Edward i ujął zawstydzony młodego przyjaciela w swe objęcia. Trzymając się za ręce, szli prosto ku domowi. Marya postępowała za niemi z niejaką obawą, bo była przekonaną, że matka łatwo z jej ócz przywiązanie do Ignacego wyczytać będzie mogła.

— Droga matko, rzekł pan Ignacy, i przystąpił z Maryą do łoża zdziwionej wdowy, prosimy cię o błogosławieństwo.

— Brawo! zawołał doktor z radością. Pani Sternburg, tu nie potrzeba długiego namysłu! Odkrył on jej właśnie miłość Ignacego ku Maryi i jego szlachetny zamiar. Z łzą radości wzniosła matka drżące swe dłonie nad głowy swych dzieci. Nie mogła nic mówić, bo radość język jej splątała. Pan Ignacy rozłączył się zaraz z matką, i z swą narzeczoną, aby do nastąpić mającego ślubu, odpowiednie poczynić przysposobienia. Edward poszedł z nim, a doktor ucieszony zajmującą sceną, został przy uszczęśliwionych.

Następnego dnia zajechało przed lichą chatkę wdowy kilka pięknych pojazdów otoczonych tłumem ucieszonych wieśniaków. Pan Ignacy zaprosił także Wernera i wsadził go mimo największego oporu do powozu wraz z innymi gośćmi. Werner nie był już dozórcą więzienia, bo Ignacy w chwili proszenia go na ślub, wręczył mu zwinięty papier, w którym wyraził, że czyni Wernera dożywotnim rządzcą swego dworu. Z niewymowną radością przeczytał zdziwiony dozórca kilka razy łaskawe pismo, i z największem uniesieniem uściskał nowego swego pana.

Nowy rządzca wręczył oblubienicy piękny bukiet, a gdy i inni goście swe życzenia jej złożyli, oznajmił przytomny kapłan, że czas jechać do kościoła. Był to ten sam ośmdziesięcioletni starzec, który przed czterema miesiącami Edwardowi na miejsce stracenia towarzyszył, ów godny sługa Chrystusa.

Panią Sternburg, która jeszcze była słabą, wsadzono do pojazdu; podczas gdy muzyka, którą pan Ignacy sprowadził, wesoło przygrywała. O jakże błogo było przychodzącej do zdrowia wdowie po tak długiej chorobie wolnym oddychać powietrzem! Wszystko zdawało jej się w nową przybrane szatę, a jej oko napawało się pięknego przyrodzenia widokiem. Orszak postępował coraz dalej, a chociaż wdowa przy jej wdzięcznych dzieciach na zamku mieszkać miała, to jednak z bolesnem wspomnieniem oglądała się na swój domek, który Ignacy biednej jakiejś rodzinie już był podarował.

Pan Ignacy prowadził swą narzeczoną, w białą suknię przybraną i z wonną różą we włosach. Kapłan świętym węzłem połączył szlachetną parę, która już wprzód miłości ogniwem spojona, teraz ostatecznie sobie przyrzekła kochać i nie opuszczać się aż do śmierci. Wśród radosnych uniesień, tysiącznych życzeń przyto-

mnych, skończyła się uroczystość ślubnego obchodu w ożywionym radością zamku.

Kapłan po skończonym obiedzie, wstawszy od stołu, rzewnie do młodej pary przemówił, tym kończąc wierszem:

Gdzie żywa wiara w skromnych sercach gości,
Świętego życia ożywiona kwiatem,
Tam znika boleść, uczucie srogości:
Ten ją nagradza, który rządzi światem,
On także na was Bozkie zwrócił oko,
Grzeszników w przepaść zaś wtrącił głęboko.

(Koniec.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Cebula zwyczajna, ma moc pędzenia uryny, uwalnia od plucia flegmą; a w occie gotowana wzbudza miesięczne. Pieczona w gorącym popiele, wyciąga wrzody.

Chrzan, służy przeciw truciźnie. Kamień pęcherzowy kruszy, miesięczne wzbudza, kaszel uśmierza, od upicia się zachowuje. Liście w winie moczone, słabe wino tęgiem czynią.

Czosnek. Główki jego są skuteczne na kolki, rznięcie w brzuchu, żółtaczkę, a osobliwie na kamień, gotując z pietruszką.

Czosnaczek ziele, Scordium, rośnie po miedzach, ma liście ząbkowate w maju kwiatki białe na wysokim prątku, a potem w różkach czarne nasienie; śmierdzi; leczy najgorsze febry i złe rany.

Dzięgiel, Angelica. Korzeń jego skuteczny na miesięczne, na wiatry, na czyszczenie zębów, na robaki, kaszel, i zaraźliwe choroby. Wódka dzięglowa żołądek wzmacnia.

Dziewięć sił, ziele, Cordopatium, rośnie na górach suchych, liście ma jak oset, po ziemi tylko rozległe, a między niemi kwiat w sierpniu modry, pachnący, a potem nasienie jak krokus. Korzeń jest bardzo skuteczny przeciw zaraźliwym chorobom.

Fiołki marcowe, pachnące, Violaria, które laksują i służą na ból głowy; a ulepek z nich na piersi skuteczny. Nasienie z nich czyni rodzenie lekkie.

Gorczyca biała i czarna, służy do musztardy i na affekcyą paraliżową.

Grzebień ziele, Nimfae lutea, Nenofar, rośnie po stawach i rzekach, z białym i żółtym kwiatem, liście ma leżące na wodzie okrągło szerokie; okładając głowę ochładzają. Nasienie ma czarne i szerokie w okrągłych główkach, to przygasza gorącość krwi, i przytłumia chuć do nieczystości, zażywszy naraz kwintkę.

Jagody św. Jana, jest krzew, na którym rosną jagody czarne, które same przez się pachną; a liście śmierdzą: służą na konwulsye, paraliż i na reumatyzmy.

Jałowiec, jest krzew; jagody jego trudność uryny uśmierzają, na biegunkę i ból głowy wielce pomagają; kadzeniem zaraźliwą chorobę oddalają.

Jaskółcze ziele, Chelidonium, rośnie przy płotach, parkanach i murach, korzeń i kwiat ma żółty, w pełności soku żółtego; Korzeń najskuteczniejszym jest na żółtaczkę; a sok rozwolnienie sprawia. Brodawki niem często smarowane zginą. Wódka z tego ziela wypalona jest bardzo dobra na bolące oczy.

Jeleni język, ziele, Cerorach scolopendria, rośnie bez łodygi i kwiatu, ma tylko liście długie jak język, a na tylnej stronie w poprzek niby żeberka, i w tych drobne nasienie. Rośnie w gęstwinach leśnych przy potokach, a czasem w studniach. Liście zażyte zmniejsza chuć lubieżności; tamuje upławy, i leczy febry czwartaczki.

Języki psie, ziele, Cinoglossium, rośnie przy płotach i drogach nad przekopami, ma korzeń bardzo soczysty, liście niemałe i długie, siwe, wełniste, pręt wysoki, a na wierzchu gałązki z kwiatami błękitnie-rumianemi. Nasienie sukna się chwyta. Kwiat i liście, skuteczne na czerwoną biegunkę.

Jerzyny, czarne ich jagody skuteczne są na wszelkie krwi upłynienie.

Izop, ziele ogrodowe, na mokrej ziemi utrzymuje się przez wiele lat: ma moc czyszczącą, pobudza urynę i miesięczne, piersi uwalnia od flegmy, na oczy podsiniałe przykładając bardzo skutkuje.

Kocanka, Stechas citrinum, rośnie przy lasach na suchych łysinach, wzrostu małego, liście ma podługowate, wełniste, kwiatki siwo-żółte albo czerwonawe, które zerwane, długo się konserwują. Dobre są na biegunkę krwawą i na plucie krwią. Sok z liści z z winem i mlekiem bardzo pomaga płokaniem na wrzód w gardle.

(Dalszy ciąg nastąpi.)